

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

The illustration depicts a woman in a red headscarf and a yellow dress, holding a wooden staff vertically. She is looking down at an elderly man with a grey beard and hair, who is looking up at her. The man's hand is near his face. In the background, there is a wooden building and a field. The title 'PAŃSTWO ZNIKAŁ' is written in large, white, serif capital letters across the bottom of the illustration.

PAŃSTWO
ZNIKAŁ

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

PAŃSTWO
ZNIKAŁ

Fundacja Oratio Recta
Warszawa 2017

[Kup książkę](#)

Projekt okładki:

Iza Mierzejewska

Redaktor prowadzący:

Paweł Dybicz

Korekta:

Agata Gogołkiewicz

Opracowanie graficzne i łamanie:

Anna Rosiak

Okładka: Jacek Malczewski „Śmierć”, 1902 r.

ISBN 978-83-64407-19-2

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Wydawca:

Fundacja Oratio Recta

ul. Inżynierska 3 lok. 7

03-410 Warszawa

www.tygodnikprzeglad.pl

e-mail: przeglad@tygodnikprzeglad.pl

Druk i oprawa:

Relex s.c., ul. Borsucza 13, 02-213 Warszawa

22 824 00 96, e-mail: relex1993@gmail.com

Spis treści

Przedmowa	9
Przeszłość jest to dziś... ..	13
Problem estetyczny	17
W obronie Gałczyńskiego	21
O kulturze	25
Choroba wściekłych mediów.....	29
Demokratyczny książę.....	33
Degrengolada szkolnej humanistyki.....	38
Wielka historia.....	41
Czy warto być sobą?.....	45
Mały spór o wartości.....	49
Wdzięczność	52
Proces niepokazowy.....	56
Wolność płodna i bezpłodna.....	60
Do uczniów Giedroycia.....	64
Wypisy ze starych książ.....	68
Czczeńskie manowce	72
Unia Euroazjatycka.....	76
Powtórka ze sprawy Oleksego	79
Specjalista	82
Negacje.....	86
Krótkie i długie trwanie.....	91
Ofiary anomii.....	96
„Starachowice”.....	100
Żli, bo głodni.....	104
Za krótkie wakacje sejmowe	108
Uniwersytet Hip-Hopu	112
Wypędzenie, czyli mniejsze zło	115

Ostrzeżenia i zachęty	119
Liberalizm? Żle się kojarzy.....	123
Papkin Europy	127
Sztuczki z własnością	131
Pomyślmy o Jugosławii.....	134
Władza kultury	139
Zarozumialstwo	143
Kto nas reprezentuje?	147
Zauważone przy okazji	151
Plemię Herero	156
Okrągły Stół z powyłamywanymi nogami.....	161
Tożsamość i nijakość	165
Anachronizm żyje i walczy	169
Obluda	172
Biopolityka	175
Polskie kłopoty z pamięcią.....	179
Czy warto?	184
Lękajcie się lub nie, zależnie od sytuacji.....	187
Nowa jakość?.....	190
Umarło w rzeczywistości, odżyło w słowach.....	195
Personalia	205
Samozatrucie Polski.....	208
Żarty polityczne.....	213
Białe plamy.....	217
Rozproszona tyrania	221
Rzeczywistość idei	224
Ucieczka przed nudą.....	228
Mściwość szaleje w Warszawie.....	231
Patriotyzm i konstytucja	236
Ze Ściany Wschodniej	240
Z Europą na dobre i na złe	244
Wędrujący profesor	248

Psychopatologia i polityka	252
Sądzenie	256
Upały	261
Cała lewica poza Sejmem? Dlaczego nie?	264
Między Pekinem i Możejkami	268
Czepianie się	272
Historia drastyczna	276
Patriotyzm jako bat na przeciwników	280
Ekshumacje	284
Lament z domieszką pogrózek	288
Noty w złym humorze	292
Eutanazja, czyli dobra śmierć	297
Przegląd wydarzeń	301
To jest Ameryka	305
Smog w polityce	310
Główny nurt nas podtapia	314
Patrioci degradują Polskę	318
Obrona sumienia estetycznego	322
Zło dobrem, a dobro złem nazywaj	326
Jak to w Polsce	330

Przedmowa

Teksty umieszczone w tej książce omawiają idee i fakty. Są uporządkowane chronologicznie, bo autor mniema, że jest to najlepszy sposób ukazania zdarzeń realnych i umysłowych w ich wzajemnych powiązaniach. Jako wieloletni nauczyciel akademicki nie uważam, że nieuniknione w tej książce powtórki są błędem, choć czytelnik może sądzić inaczej. Mam swoje obsesje usprawiedliwione, a nawet uzasadnione ważnością zdarzeń będących ich przedmiotem. Czytelnicy zwrzali mi się nieraz, że myślą podobnie jak ja i moje felietony częściej przynoszą im ulgę, niż budzą zastrzeżenia. Nie jestem więc sam i oni z ich poglądami nie są sami, choć nieraz mogą się czuć osamotnieni.

Gdybym chciał opisać dzisiejszą Polskę, pokazać, skąd się wzięła i jakie są jej dążenia, byłyby w tym opisie dwa słowa klucze: kontrrewolucja i restauracja. Przeżyliśmy i nadal przeżywamy powrót do kapitalizmu i jego formy politycznej nazywanej demokracją. Jeśli przez kapitalizm rozumieć wolność produkcji i wymiany, a przez demokrację wolność polityczną, to restauracja jest wydarzeniem jednoznacznie pozytywnym i pożądanym. Wydałem książkę pod tytułem „Liberalna kontrrewolucja” i ten tytuł był pochwałą tak rozumianej restauracji. Jednak radykalne odrzucenie ustroju socjalistycznego i odtwarzanie tego, co było przed nim, jest wydarzeniem tak silnym i dynamicznym, że nie mogło ograniczyć się do wymienionych celów. Zwłaszcza że nie było kierowane przez ścisłe polityczne centrum. Nie brało w tym co prawda udziału całe społeczeństwo, ale dość liczna grupa społeczna, która ogłosiła się narodem.

Restauracja z taką samą siłą, z jaką odtwarzała kapitalizm, w wymiarze ideologicznym nie tylko potępiała socjalizm –

co było naturalne – ale również państwo polskie, które miało taki ustrój. Niszczycielska furia krok po kroku, niemal z miesiąca na miesiąc delegitymizowała Polskę Ludową, odbierała prawa obywatelskie jej funkcjonariuszom, obrońcom granic i innym oficerom, oczerniała wszystko, co powstało, co zbudowano w PRL, wmawiała milionom ludzi, że ich życie było bezsensowne, a ich czyny karygodne. Docho-
dzi do tego, że tak zwani twórcy kultury dzielą się z publicznością zdziwieniem, że w nieludzkim systemie ukazywały się ich książki, wyświetlano ich filmy, puszczano w radiu ich piosenki, wystawiano sztuki teatralne, a ich samych nagradzano. Byłoby dziwne, gdyby restauracja nie przeprowadzała radykalnych zmian własnościowych, będących często rozbójniczym przejmowaniem własności skarbu państwa, na straży której nie stały ani sądy, ani administracja rządowa. Setki tysięcy ludzi wypędzono z ich legalnie posiadanych mieszkań, aby stało się zadość roszczeniom właścicieli, których majątki po wojnie zostały użyte do odbudowy kraju siedemdziesiąt lat temu.

Ukoronowaniem, a może tylko jednym z etapów niszczenia socjalistycznego państwa polskiego są oświadczenia członków rządu, że państwa polskiego nie było, Polska Rzeczpospolita Ludowa była „kolonią sowiecką”. Do takiego nihilizmu państwowego doprowadziła w Polsce restauracja, która według założeń „demokratycznej opozycji” miała być gospodarką rynkową i liberalną demokracją.

Polska restauracja i kontrrewolucja – razem należy je rozważać – są procesem jeszcze niedokończonym, planuje się dalsze kroki w dotychczasowym kierunku. Dobrze jest pomóc sobie odwołaniem się do przykładu francuskiego, do tego, co się działo po zakończeniu wielkiej rewolucji i upadku Napoleona, ale nie tu miejsce, żeby opisywać tamte dzieje.

W polskich przemianach proces kontrrewolucyjny występuje wyraźnie, ale nie jest opisywany ani rozpoznany w swojej istocie.

W swoich początkach Polska powojenna była państwem rewolucyjnym, kierowanym przez komunistów i, mówiąc najogólniej, zalanym przez ostatnią falę rewolucji bolszewickiej. Naturalnym sprzeciwem temu stanowi rzeczy była kontrrewolucja we wszystkich swoich przejawach: politycznym, kulturalnym, religijnym i gospodarczym. Ta kontrrewolucja występowała w imię przeszłości takiej, jaka była zapamiętana. Jednakże od przełomu 1956 roku Polska z licznymi zahamowaniami stopniowo odchodziła od wzoru rewolucyjnego i w latach 70. i 80. miała już wyraźne cechy konserwatywne. I wówczas gdy kontrrewolucja straciła rację bytu, uzyskała warunki działania. Tak jak rewolucja stworzyła swój system wartości, który ją przetrwał, tak też z ideą kontrrewolucji zrosły się pewne emocje, wzory działania, obiekty nienawiści. Wystąpiła ona razem z restauracją kapitalizmu, nadała mu swoją ideologię i swoje złe emocje i z braku rewolucyjnego wroga zwróciła się przeciw prawie konserwatywnemu porządkowi PRL. W swojej symbolicznej i politycznej wrogości doszła do delegitymizacji Polski Ludowej i ustanowiła propagandowo i rytualnie fikcyjną bezpośrednią ciągłość z II Rzeczpospolitą, zapośredniczoną przez rząd londyński, który niczym nie rządził. Znudziwszy się tym rządem i podległą mu Armią Krajową, kontrrewolucja doszła do idealizacji zabłąkanych politycznie polskich formacji faszystowskich. III Rzeczpospolita nie uznaje państwa, z którego realnie się wywodzi, a wywodząc się w wyobraźni, a więc fikcyjnie, z II Rzeczypospolitej, która wskutek wojny została całkowicie zniszczona, jest państwem znikąd.

Bronisław Łagowski

Przeszłość jest to dziś...

Gdy delegacje zachodnioeuropejskie zgodziły się na konferencji w Durbanie nazwać krzywdy wyrządzone Murzynom w czasach kolonialnych „zbrodniami przeciw ludzkości”, delegaci krajów afrykańskich bardzo się ucieszyli. Usilnie się tego domagali i to z dwóch powodów: za takim wyznaniem win przez Europejczyków muszą iść odszkodowania pieniężne, a ponadto już samo bycie, choćby w dziesiątym pokoleniu, ofiarą modnie nazywających się zbrodni uchodzi obecnie za pozytywnie wyróżniającą się cechą moralną. Przeszłość czarnych Afrykańczyków składa się nie tylko z niewolnictwa i nie tylko z doznawania „zbrodni przeciw ludzkości”; skoro przetrwali i nawet się rozmnożyli, to widocznie w ich przeszłości były także wymiary pomyślności. Również tę niewątpliwą zbrodnię białych ludzi, jaką był handel Murzynami, można potraktować jako wyjściowe zdarzenie, które dało początek pomyślnie przecież uwieńczonej historii Murzynów amerykańskich. Cóż z tego, że przeszli przez niewolnictwo! Europejczycy też mieli okres niewolnictwa, a pańszczyzna w Polsce, która była czymś może gorszym niż niewolnicza praca na plantacjach w Georgii czy w Alabamie, została zniesiona w tym samym czasie co niewolnictwo w Ameryce. Wymowne jest, co ze splątanych składników przeszłości narody wyciągają na wierzch. Obecnie wszyscy się przechwalają ludobójstwami, jakiegoś cierpieli ich przodkowie, a najlepiej oni sami. Pan nie wiesz, kto ja jestem! Ja jestem ofiarą zbrodni przeciw ludzkości! Coraz więcej ludzi chce uchodzić za ocalałych z jakiegoś holokaustu i ta mania tak się szerzy, że aż Światowa Konferencja ONZ przeciw Rasizmowi, Dyskryminacji Rasowej, Ksenofobii i Nietolerancji musiała uchwalić, że Holokaust był jeden.

(Akurat tę uchwałę powinna sobie przyswoić polska prasa, gdzie „holokaust” pisze się małą literą, nie rozróżniając nazwy ogólnej od imienia własnego).

Polacy mało różnią się pod tym względem od Afrykańczyków. Gdyby ich ktoś przekonał, że te wszystkie Sybiry były tylko mało znaczącymi, choć trochę za często pojawiającymi się epizodami w długim trwaniu narodowym i że klęsk nie warto wywlekać po to, żeby się nimi chwalić, to poczuliby się obrabowani z tego, co uważają za najcenniejsze w swojej historii. Jednostka, która ciągle mówi o tych samych swoich nieszczęściach, w końcu staje się nudna, a może i śmieszna. Naród również nie zyskuje na powadze dzięki obsesji cierpiętniczej. Toż nie po to hipotetyczny Bóg sprowadza na nas plagi, abyśmy się nimi chwalili. Raczej jest to temat do cichego zastanawiania się i może do rachunku sumienia.

Przebyte cierpienia różnych zbiorowości prędzej lub później znajdują się w orbicie zainteresowań kancelarii adwokackich. Właśnie Murzyni amerykańscy tam się już znaleźli. Adwokaci wykazali czarno na białym, że należą im się od białych rekompensaty za czasy niewolnictwa. Obliczyli nawet wysokość: 100 miliardów dolarów. Co trzeci Amerykanin przychyła się do tych żądań, jeszcze więcej – poważnie się nad nimi zastanawia. Gdyby było kogo się zapytać, chciałbym wiedzieć, w jakim to momencie najnowszej historii tego rodzaju pomysły przestały śmieszyć, a zaczęły być poważnie przyjmowane lub oddalane. Przy okazji dyskusji o reprivatyzacji napisałem, że potomkowie chłopów pańszczyźnianych mogliby wystąpić z żądaniami odszkodowań za nieopłaconą pracę na pańskich folwarkach. Obecnie ta idea przychodzi do nas z USA, a co amerykańskie, a zwłaszcza murzyńskie, jest w Polsce ochoczo naśladowane. Podsuwam ten pomysł kancelariom adwokackim.

Rewindykacje finansowe spadkobierców krzywd są zgłaszane w tonie boleści i z powołaniem się na wzniośle pojętą moralność. Żadne pieniądze – mówi się – nie zwrócą utraconej godności, przepadłego szczęścia i wprost żenuje nas mówienie o pieniądzach, ale jeśli nie możecie dać 100 miliardów, to dajcie przynajmniej 50. Też za dużo? To dajcie miliard i kończmy sprawę przebaczeniem.

Skracanie czasu historycznego dokonuje się bez żadnego rozumowania, zachodzi samo poza naszymi głowami. Czy przymusowy robotnik, który w Niemczech w 1945 roku widział, jak fabryka, w której pracował, rozsypała się w gruzy i który przedzierał się do Polski przez zburzone miasta – Kolonię, Hamburg, Berlin – myślał, że od tego sprawiedliwie zrujnowanego kraju będzie chciał uzyskać jakieś odszkodowanie? Czy nie był dostatecznie przekonany, że rachunki zostały wyrównane? Już po dziesięciu latach wojna wydawała się zamkniętą przeszłością, a to, co trzeba jeszcze załatwić, należało do sfery spraw rządowych. Pracowaliśmy przymusowo, całe Niemcy leżyły w gruzach, nie wzbogaciliśmy ich, ale za nasze upokorzenie, za naszych zabitych, za nasze zburzone miasta otrzymaliśmy Wrocław, Szczecin, Mazury. Dopuszczalne jest w pewnych granicach słowne kształtowanie przeszłości. Można by nawet mówić nie „otrzymaliśmy”, ale „wzięliśmy sobie prawem zwycięzców”. I to byłaby najpoprawniejsza wersja dla podręczników szkolnych. I kiedy wydawało się, że wszystko już zostało sprawiedliwie uregulowane, nagle czas się skurczył i znowu znaleźliśmy się blisko wojny. Z tamtej strony tonem spokojnym i w języku praw człowieka mówi się o odszkodowaniach dla „wypędzonych” i o ich prawie do powrotu. Odnosimy się do tego z lekceważeniem, ponieważ na razie my mamy lepszą kancelarię adwokacką. Ale tak jak „nie brak świadków na tym świecie”, nie brak też kancelarii adwokackich.

Odszkodowania dla robotników przymusowych rząd Buzka wpisał na listę swoich osiągnięć. Jest to typowe osiągnięcie tego rządu. Typowe, to znaczy takie, za które przyjdzie słono zapłacić. Nie jest trudno otworzyć na nowo rachunki wojenne, jeśli się jednak nie posiada mocy, aby je zamknąć – a nie posiada się – to lepiej było tego nie robić.

Już cały nieomal świat rozlicza się z przeszłością i traci poczucie rzeczywistości czasu. Prawne pojęcie przedawnienia coraz bardziej zawadza, szuka się pretekstów, aby je przeddefiniować. I robi się to albo dla kancelarii adwokackich, albo dla urzędów prokuratorskich. Już prawie poważnie brałem ideały jednoczenia się narodów Europy i tworzenia światowego „społeczeństwa obywatelskiego”. Przyszłość rysuje się optymistycznie – ale czy historia wydobywana z czeluści czasu, historia pełna krzywd, niewoli, podbojów nie stanie na przeszkodzie globalnemu społeczeństwu? Widzę tu jakąś przeciwność dążeń. Jeżeli narody rzeczywiście wezmą sobie do serca „głoszony przez rozwścieczonych moralistów nakaz pamięci”, to znaczy wydobywania z przeszłości wszystkiego co najgorsze, wszystkich krzywd i doznanych okrucieństw, i osądzania ich od nowa, za pomocą współczesnych kryteriów, to na czym opiera się nadzieja zwolenników „światowego społeczeństwa obywatelskiego” czy choćby skromniejsza nadzieja pokoju między narodami?

17.09.2001 r.

Problem estetyczny

Mam nadzieję, że czytelnicy pamiętają jeszcze artykuł profesora Aleksandra Böhma z Instytutu Architektury Krajobrazu Politechniki Krakowskiej, w którym autor starał się obudzić nas z estetycznego letargu. Zwracał uwagę, że walor estetyczny krajobrazu, architektury, urbanistyki (bo i ona powinna być objęta tą kategorią), jak też innych rzeczy wystawionych na widok publiczny nie jest wyłącznie kwestią indywidualnych odczuć. Jest sprawą społeczną, podlegającą odpowiedzialności władz rządowych i samorządowych. Wydaje się to oczywiste i ta oczywistość znalazła wyraz w obyczajach i ustawodawstwie wielu krajów, ale nie w Polsce. Profesor Böhm podaje, że Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych po rozpatrzeniu skargi właściciela domu przeciw lokalnym władzom samorządowym stawiającym wymagania estetyczne w stosunku do jego nieruchomości orzekł, że prawo jest w mocy decydować tak samo w sprawach piękna, jak decyduje w sprawach zdrowia. Już sobie wyobrażam lekceważące kpinki polskiej prasy w wypadku, gdyby takie prawo zostało wprowadzone w Polsce. Pamiętamy, jak została przyjęta ustawa o czystości języka, która wypływała przecież głównie z wrażliwości estetycznej. Jesteśmy przeczuleni na punkcie zakazów i nakazów wydawanych przez władze i życzymy sobie nierealistycznie, aby wszystko, co dobre i słuszne, dokonywało się spontanicznie.

Bynajmniej nie twierdzę, że można kraj przeobrazić estetycznie za pomocą środków prawnych i administracyjnych. Gdyby władze tego próbowały, nie sprzeciwiłbym się jednak, bo chociaż bezpośredniego sukcesu z pewnością by nie odniosły, to przecież uwaga opinii publicznej zostałaby skierowana na ważny problem.

Każdy wie, że łatwiej sprzedać rzecz ładną niż brzydką, że z dwóch przedmiotów porównywalnych pod względem użytkowym droższy będzie przedmiot piękniejszy. Ładne domy są droższe niż brzydkie. Piękny krajobraz przyciąga turystów i wzbogaca stałych mieszkańców. Ludzie bogaci od początku świata drogo wynajmowali znawców piękna, aby im urządzili otoczenie, w którym przebiegało ich życie. Brzydkie otoczenie obniża wartość nieruchomości. Jednym słowem: piękno jest pierwszorzędnym walorem ekonomicznym, przynosi nie tylko zadowolenie zmysłowe, ale także zysk finansowy. Kraj ładniejszy już przez to samo, że ładniejszy, jest bogatszy. I mówiąc dalej tym trybem łopatologicznym, powiedzmy sobie, że społeczeństwo pod względem estetycznym indolentne, prymitywne lub zepsute już przez to samo jest biedniejsze.

Nie odnoszę się z politowaniem do tych domostw, które są przeładowane ozdobami w „orientalnym” albo, jak niektórzy mówią, „cygańskim” guście, bo sama intencja zdobnicza, sama chęć, aby to się podobało, jest lepsza niż tępa obojętność na wygląd. Najważniejsze na początku jest to, że chcą, aby coś było piękne, w następnej kolejności nauczają się rozróżniać. O melancholię przyprowadzają natomiast te nowomodne, szarobure kościoły, których ponura brzydota sprawia, że wydają się pomnikami bezbożnictwa.

W czasach gdy kunsztownie kształtowano duże obszary krajobrazowe (na przykład pod panowaniem Ludwika XIV, żeby nie sięgać do starożytności), istniały wyraźne kanony piękna wypracowane przez sztukę. Tymczasem sztuka nowoczesna, o czym wykladał już Władysław Tatarkiewicz, nie hołduje ideałowi piękna, dąży do innych wartości czy antywartości, pragnie raczej szokować niż uwodzić, a najłatwiej można szokować brzydotą. Nie jest już ona sprzymierzeńcem ludzkich potrzeb pięknego pejzażu czy pięknej architektury.

Z jej strony wsparcia nie znajdziemy. Sprzymierzeńcem może być rachunek ekonomiczny. Kraj, miasto ładnieje tam, gdzie sięga wolny handel, choć nie jest to warunek wystarczający. Ludzie posiadają naturalną skłonność do piękna, sztuka nowoczesna wydrwiwa ją w imię swoich antywartości, handel zaś do niej się zwraca i stara się ją wykorzystać. Ta naturalna skłonność wymaga jednak kształcenia, rafinowania, sublimowania, ale czy obecne szkolnictwo artystyczne może być w tym pomocne, tego nie wiem.

Świadomość estetyczna w Polsce pozostaje na poziomie społeczeństwa borykającego się z trudnościami zaspokojenia elementarnych potrzeb. Nie jesteśmy już takim społeczeństwem. Konsumpcja materialna wzrasta, nikt nie cierpi głodu, wszyscy są dostatnio odziani, istnieje liczna warstwa ludzi zamożnych, tymczasem przestrzeń publiczna jest bardziej zaniedbana, niż to było w okresie większego ubóstwa.

Abnegacja estetyczna jest wyrazem niepoważnego stosunku do materii, niepojmowaniem jej sensu i nieprzyjmowaniem do wiadomości, że człowiek ma powinności w stosunku do widzialnego świata.

Polska nie jest krajem barbarzyńskim. Posiada swoistą, wysublimowaną kulturę, zwróconą jednak ku tak zwanym nieślusznym wartościom duchowym i unikającą sprawdzianów, jakimi zawsze są próby kształtowania środowiska materialnego. Być może polscy wierni modlą się żarliwie, ale pięknych kościołów zbudować nie potrafią.

Krakowskie media ogłosiły plebiscyt, który miał wyłonić najwybitniejszych krakowian XX wieku. Wyniki plebiscytu nie były zaskakujące. Mieszkańcy Krakowa do najbardziej zasłużonych zaliczyli poetów, historyków literatury, księży, działaczy politycznych i ani jednego budowniczego. Zbudowano im pod bokiem stutysięczne miasto, ale uznali to za drobnostkę

w porównaniu z poezją Miłosza. Było w Krakowie dwóch wybitnych Ingardenów – budowniczy wodociągów i filozof. Za zasłużonego uznany został filozof, bo komu potrzebne są wodociągi w Krakowie? W tym plebiscycie zwyciężyły wartości duchowe. Przegrały wartości materialne, a wraz z nimi też estetyczne. Nietrudno jest zobaczyć piękno w poezji, nawet barbarzyńcy żyjący na stepach byli na nie wrażliwi. Człowiek prawdziwie kulturalny potrzebuje piękna na klatce schodowej.

15.10.2001 r.

W obronie Gałczyńskiego

W „Traktacie poetyckim” Czesława Miłosza znajduje się zdanie: „Jest ONR-u spadkobiercą Partia”. Młodym czytelnikom wyjaśniam, że ONR był skrajnie prawicową, antysemitką organizacją działającą przed wojną, a Partia, o której mowa, to PZPR i jej poprzedniczka PPR. Gdyby autor wiedział, że poemat wpadnie kiedyś w ręce arcybiskupa Życińskiego, który to zdanie będzie głosił na równi z innymi prawdami objawionymi, może zadrżałaby mu ręka. Trudno, stało się. „Cokolwiek chciał powiedzieć – cytuję Paula Valéry’ego – autor napisał to, co chciał napisać. Raz opublikowany tekst jest niczym narzędzie, którym każdy może się posługiwać według swoich chęci; nie jest pewne, czy sam autor używa go lepiej niż ktoś inny”.

Zdanie, że Partia była spadkobiercą ONR, nieźle by figurowało w limeryku. Można by je ścierpieć w epigramacie. Da się usprawiedliwić, dopóki siedzi w poemacie jako figura eliptyczna. Co by się z tym zdaniem stało, gdyby je napisać jako twierdzenie prozą? Miłosz zrobił taki eksperyment. W komentarzu do angielskiego tłumaczenia „Traktatu poetyckiego” (włączonym do ostatniego polskiego wydania) znajdujemy już prozaiczne twierdzenie, że ONR „był partią skrajnej prawicy. Partia komunistyczna stała się jej spadkobierczynią, kiedy uciekła się do haseł nacjonalizmu”.

Gdy Miłosz pisał „Traktat poetycki”, aparatem władzy w Polsce kierowali przedwojenni KPP-owcy, a na czele PZPR stali Bierut, Cyrankiewicz, Rokossowski, Berman, Zambrowski. Patrząc na rzeczy z zewnątrz, nie sposób się zgodzić, że byli oni spadkobiercami ONR, ale można założyć, że polityka ma głębinową, utajoną stronę i tam wszystko jest możliwe. Z braku wiedzy tajemnej możemy tę ukrytą stronę polityki

zapełniać dowolnymi domysłami i w Polsce osoby duchowne oraz propagandyści polityczni od tego ryzykownego zajęcia się nie uchylają. Dołączają do nich naukowcy. Profesor Jan T. Gross uznaje za „intrygującą” hipotezę, że „zaczynem komunistycznych porządków w Polsce” byli antysemita („Sąsiedzi”, s. 119). Nie ulega wątpliwości, że zaraz po wojnie antysemityzm w Polsce występował w sposób agresywniejszy niż przed wojną, a w każdym razie w sposób jeszcze bardziej podły, zważywszy na okoliczności. Nie komunistyczna partia jednak do tego podburzała, przeciwnie, to właśnie rzekoma spadkobierczyni ONR i jej aparat władzy dawały Żydom co najmniej przez dziesięciolecie najpewniejsze schronienie i bezpieczeństwo. Kto temu przeczy, zachowuje się jak przekorne dziecko.

W tym samym komentarzu autor „Traktatu poetyckiego” pisze o Konstantym I. Gałczyńskim, że przed wojną był bardem prawicy i zwolennikiem ONR, a po wojnie stał się „bardem nowej komunistycznej Polski” (s. 43). Zupełnie niesłychany jest ten oto przypis: „Gałczyński związał wszystkie elementy: podobnie jak narodowi socjaliści w sąsiednich Niemczech, polscy prawicowcy byli antymieszkańscy, populistyczni i rasistowscy. Autorem hymnu nazistów był człowiek z marginesu społecznego, Horst Wessel” (s. 44). Zdziwiony tymi komentarzami, przeczytałem przedwojenne wiersze Gałczyńskiego. Nie brakuje w nich, gorzej, jest za dużo uszczypliwych powiedzonek o Żydach, w rodzaju: „Szaleńcy robią zamieszki, Żydzi napełniają mieszki”. Przeważnie jest to pozbawione zjadliwości igranie stereotypem, kiedy indziej purnonsens w rodzaju: „Bierzesz Żydów dwa śmietniki i Nałkowską za wąsiki”.

Z pewnością nie ma czego chwalić, ale dopatrywanie się w tym nienawiści do Żydów wydaje mi się nietrafne.

Gdybyśmy te nieraz pustackie żarty wzięli za wyraz antysemityzmu, to co należałoby sądzić o Antonim Słonimskim, który pisał, że „Ścianę Płaczu (w Jerozolimie) zburzyć powinni sami Żydzi i postawić w tym miejscu Ścianę Śmiechu. Co piątek Żydzi powinni zbierać się pod tą ścianą i śmiać się z radością, że zburzono świątynię jerozolimską”. Albo „Nieprzedawnione prawo historyczne Żydów do Palestyny wydaje mi się nieco operetkowe”. To, co po Holokauście uznajemy za niedopuszczalne pogwałcenie tabu, przed wojną należało do potocznej konwersacji także wśród inteligencji pochodzenia żydowskiego. Moje rozeznanie co do antysemityzmu jest z pewnością powierzchowne i fragmentaryczne. Przeczytałem kiedyś trzy tomy „Historii antysemityzmu” Poliakowa i w świetle tego, co zapamiętałem, trudno byłoby uznać Gałczyńskiego za antysemitę. Tym samym tonem, co o Żydach, pisał też o „młodzieży bolesławo-chrobrej” i o ONR:

*Miała matka trzech synów:
dwóch mądrych, nie frajerów
a trzeci, co był głupi,
wszedł do Oeneru.*

Krytycy Gałczyńskiego nielojalnie piszą o jego rzekomym wzywaniu do „nocy długich noży” przeciw liberalnej inteligencji. Z równą słuszością mogliby pisać o żądaniu szubienicy:

*bo wieczorem znów szepną kawiarnie,
że... nadzieja, że... noc... Bartłomieja
– Gałczyńskiego – krzykną – na latarnię!
– A ja na to: Przepraszam, to nie ja.*

Bardzo respektuję Artura Sandauera, ale jego analiza „Skumbrii w tomacie”, mająca wykazać polityczny sens tego wiersza, wydaje mi się trudem bezowocnym. Podobnie myślę, ale jeszcze gorzej, o dociekaniach, jakiego przełomu politycznego świadectwem były „Kolczyki Izoldy”.

Powiedzieć o Gałczyńskim, że był „bardem komunistycznej Polski”, to powiedzieć jaskrawą nieprawdę. Czy Bułat Okudźawa był bardem Związku Radzieckiego, dlatego że jego wiersze i pieśni wydawano i że były one rekordy popularności? W poezji ani w całej literaturze powojennej Polski nie znajduję niczego, co byłoby tak kontrastowo odmienne od atmosfery duchowej komunizmu jak poezja Gałczyńskiego. I koryfeusze polskiej krytyki literackiej okazali się tacy mądrzy, że właśnie tego doskonale bezpartyjnego i głęboko szlachetnego (ale nie na pokaz) poetę uznali za człowieka politycznie niemoralnego. Jego poezja, którą zachwycali się moi koledzy szkolni i uniwersyteccy, kiedyś do mnie nie przemawiała. Dopiero teraz odkryłem wspaniałego, o niebywale bogatych środkach wyrazu poetę, jednego z najbardziej utalentowanych w naszej literaturze. Miłosz w „Prywatnych obowiązkach” pisał o nim bardzo prawdziwie: „Za wszystkimi pieśniami i sztuczkami tego minstrela-żonglera czai się inteligencja bystra, chwytna, zachowująca jakby dystans wobec słów, które traktuje jako doraźne, na ten właśnie moment, i już gotowa do dalszych eskapad”. Do tych, którzy mimo wszystko nie dadzą sobie odebrać poglądu o Gałczyńskim – bardzie nacjonalizmu (białego lub czerwonego), adresuję lament i prośbę poety:

*Ach nie bijcie staruszka, nie trzeba,
ja mam dziatki. I wszystko jest blaga.
Tak już dawno to było, gdyś śpiewał
nacjonalistyczny huragan.*

Właśnie. To było tak dawno!

21.01.2002 r.

O kulturze

We wszystkich zaistniałych i mogących się pojawić konfliktach między ministrem kultury Andrzejem Celińskim i „ludźmi kultury” bez namysłu stoją po stronie ministra, a po namyśle jeszcze bardziej. Pod względem psychologicznym jego zadanie jest trudniejsze niż ministra jakiegokolwiek innego resortu. Już to, czego on jest ministrem, pozostaje zasadniczo sporne. Powtórzę tu wywód, jaki przedstawiłem kiedyś na innym miejscu. Słowo „kultura” jest wieloznaczne i nieostre, ale trzeba je przyjąć, jakim jest, bo pedanteria i scholastykizm, w co się popada, chcąc je zdefiniować, są nieznośne poza akademickim seminarium. Ludzie należący do elit i awangard kulturalnych chętnie twierdzą, że rynek wulgaryzuje kulturę masową. Czynią oni rozróżnienie na kulturę niską i kulturę wysoką, ta druga ma być wolna od wulgarności i tandety. W rzeczywistości bardzo do tego daleko. Wyrażenie „tandeta w kulturze wysokiej” może wydawać się wewnętrznie sprzeczne i jeszcze sto lat temu ono może takie było. Od tamtego czasu kultura wysoka przeszła kilka awangard i kilka etapów unowocześniania się, w wyniku czego przymiotnik „wysoka” nie oznacza już ani głębi, ani poziomu. Rewolucja kulturalna dokonywała się początkowo w ramach wąskiej elity artystycznej, ale już w latach 60. wystąpiła z brzegów bohemy i rozlała się bardzo szeroko. Do awangardyzmu poprzednich dziesięcioleci dodała, jak twierdzi Daniel Bell, skłonność do przemocy i okrucieństwa, zainteresowanie perwersją, postawę antypoznawczą i irracjonalną, wreszcie „demokratyzację geniuszu”, to znaczy taką estetykę, która każdemu niezależnie od talentu pozwala być twórcą. Gwałt i okrucieństwo, jakie przeważają w filmach i występują w innych rodzajach sztuki, nie mają na celu, powiada

Bell, spowodowanie *katharsis*, przeciwnie, dążą do szokowania widza, poddania go symbolicznej chłóście i doprowadzenia do chorobliwego stanu umysłu. Filmy, happeningi, malowidła prześcigają się w pokazywaniu najdrastyczniejszych scen upokorzenia człowieka.

Obniżenie się poziomu wykształcenia humanistycznego (w krajach anglosaskich: „edukacji liberalnej”) uczyniło publiczność bezradną myślowo wobec tych tendencji w kulturze. Zachowały się ambitne potrzeby kulturalne, ale publiczność nie jest zdolna do odróżnienia w literaturze, sztuce czy filozofii rzeczy wartościowych od tandety wyprodukowanej przez fachowców od kontrkulturowego szokowania. Nie można oprzeć się na ocenach uznanych autorytetów intelektualnych. Wybitni pisarze pomstują ogólnikowo na procesy rozkładowe w kulturze, ale nie ujawnił się jeszcze taki śmiałek, który odważyłby się wskazać i nazwać po imieniu przykłady sprytniej tandety w dziedzinie „kultury wysokiej”. Co ciekawe, zabiegają oni bardzo często o względy wpływowych „spryciarzy”, ponieważ ci mają nierzadko rozstrzygający głos w ustalaniu hierarchii literackich i artystycznych.

„Elitarne” w naszych czasach nie oznacza zawsze czegoś doskonalszego, lepszego, piękniejszego czy głębszego, lecz odnosi się do specjalnych pretensji sięgania po wymyślne treści, które mogą być w takim stopniu wulgarne i obsceniczne, że w kulturze masowej nie mogłyby być zaakceptowane. To, co według obecnie uznanych kryteriów jest elitarne, może znajdować się poniżej poziomu kultury masowej. Nieprzypadkowo też twory kultury wysokiej są łatwe do naśladowania.

Gdy kultura, zarówno masowa, jak i wysoka cierpią na głęboko sięgającą korupcję, rola państwowego mecenasa jest niezwykle trudna. Gdyby środowiska kulturalne żądały od państwa tylko pieniędzy, może udałoby się je po części zadowolić.

Ale one domagają się jeszcze, aby państwo miało doktrynę kulturalną, to znaczy, żeby wymyśliło i zadekretowało uzasadnienie dla dawania tych pieniędzy. Współczesna twórczość kulturalna jest inspirowana innym duchem niż twórczość klasyczna. Powody, dzięki którym sztuka i literatura cieszyły się mecenatem rządów i dworów w dawnych czasach, już nie istnieją. Kiedy pisarze i artyści dawnych wieków oczekiwali zapłaty od możnych, a w XIX wieku już żądali subsydiów od państwa, powoływali się na to, że sztuka uszlachetnia człowieka. Czy dziś artysta mógłby wygłosić taki pogląd, nie narażając się na śmieszność? Literatura i sztuka już nie uszlachetniają i nie stawiają sobie takiego zadania. Kontestują społeczeństwo, „demaskują” tradycję, natrzęsają się z wrodzonych upodobań estetycznych i przesądów moralnych przeciętnego człowieka, obalają sto razy obalone tabu. W społeczeństwie liberalnym, demokratycznym mają do tego prawo, ale nie zostało nigdy wyjaśnione, dlaczego ten pogardzany i wyrafinowane ośmieszany przeciętny człowiek miałby do tego wszystkiego masochistycznie dopłacać jako podatnik? Dlaczego państwo zmusza go do tego?

Dawni liberałowie zakładali, że człowiek z natury dąży do udoskonalenia swojego umysłu i dlatego na wolnym rynku dóbr kultury wyższe wartości zwyciężą w konkurencji z tym, co wulgarne i płytkie. Dlatego sprzeciwiali się finansowaniu kultury ze środków rządowych. Interwencję państwa w tej dziedzinie traktowali jako niezdolny paternalizm i potępiali jako narzucanie ludziom urzędowego gustu. Jeden z liberalnych ekonomistów twierdził (Bastiat w sporze z poetą Lamartinem), że jeśli rząd zacznie od subsydiowania teatrów, to dojdzie do subsydiowania górnictwa, hutnictwa i rolnictwa. (Miał to być argument redukcji do absurdu, jednakże w naszych czasach absurd dał się urzeczywistnić). Stanowisko XIX-wiecznych

liberałów opierało się na bardzo sympatycznym złudzeniu co do natury ludzkiej. To złudzenie należy do przeszłości. Stary Freud sugestywnie pokazał, że człowiek jest zdeterminowany przez libido i instynkt destrukcji (także samodestrukcji), że cywilizuje się jedynie pod silnym przymusem kultury i że kultura jest dla niego „źródłem cierpień”. Jeśli więc znajdzie się na wolnym rynku kultury, to sięgnie po treści odpowiadające jego dążeniom instynktowym, zamiast kupować sobie źródło cierpień. Człowiek brany w masie wcale nie pragnie być doskonalszy, niż jest, przeciwnie, zdobyty poziom ucywilizowania traktuje jako uciążliwość, hipokryzję, zakłamanie i nieautentyczność.

Produkcja kulturalna, która zwycięża w konkurencji rynkowej, stanowi przedmiot nieustającej krytyki. Celem tej produkcji jest dostarczanie rozrywek, toteż ocenianie jej za pomocą poważnych miar przez tych, którzy jej nie kupują, jest wtrącaniem się w nie swoje sprawy. Jeśli chodzi natomiast o kulturę finansowaną przez państwo, konieczne jest stawianie pytań o jej sens, o jej wartość. Trzeba pytać po staroświecku (wszelkie odrodzenie jest możliwe dzięki temu, co stare), czy ona uszlachetnia człowieka, czy przeciwnie, współdziała z czynnikami, które go degradują.

Minister Celiński nie zawsze bywa sympatyczny i nawet się o to nie stara, ale ma wystarczającą przewagę intelektualną, by nie tylko odpowiadać swoim kulturalnym interesantom, ale także stawiać im pytania.

2.04.2002 r.

Choroba wściekłych mediów

Polska bardzo szybko zbliżyła się do demokracji zachodnich pod względem wad, a nawet je wyprzedziła. W dzisiejszych demokracjach zachodzi w coraz szybszym tempie osłabienie wybieranej przez obywateli władzy politycznej na korzyść władzy sądowniczej, a zwłaszcza tak zwanej (początkowo żartem) czwartej władzy, czyli mediów. Ta czwarta władza nie ponosi żadnej odpowiedzialności politycznej przed obywatelami. Uzależniona jest od właścicieli, którzy żądają, aby przynosiła zyski i czasami, nie zawsze, narzucają orientację polityczną. Możliwość uprawiania własnej polityki stanowi część wynagrodzenia (nieobjętego kontraktem) dla osób zajmujących ważne stanowiska w mediach. Jeżeli „Nowe Życie Gospodarcze”, w którym publikuję, osiągnie nakład 500 tysięcy egzemplarzy, na co się nie zanosz, to zadrżycie przede mną, ministrowie i kardynałowie! To nie będzie monopol, ale wystarczy, żebym wam napędził stracha. Arystoteles, wyliczając w swojej „Ekonomice” różne sposoby zdobywania majątku, wymienia także rabunek. Media targują rozrywkami i uprawiają także bardzo szacowny handel informacjami. Ale znaczna część ich majątku pochodzi z rabunku. Rabunek ten oczywiście jest dokonywany na materiale symbolicznym, jak prawie wszystkie operacje medialne. Media obrabowują władzę demokratyczną z uprawnień, jakie były obiecane reprezentantom ludu w okresie walki o republikańską formę rządu. Gdyby lud został z góry powiadomiony, co się stanie z jego władzą (właściwie był, ale nie słuchał), to nie doszłoby ani do licznych francuskich rewolucji, ani do żadnych Wiosen Ludów. Andriej Sacharow inaczej pokierowałby radziecką dysydencją, gdyby mu przyszło na myśl,

że panowie Gusiński i Bierezowski mogliby sięgać po czwartą władzę nad Rosją. Jestem pewien, że Solżenicyn też tak myśli.

Nie chcę powiedzieć, że władza mediów nie jest demokratyczna. Mimo że nie istnieją procedury pociągania jej do odpowiedzialności przez obywateli, pod pewnym względem jest ona bardziej demokratyczna niż wybrany parlament i kontrolowany rząd. Cóż bardziej demokratycznego, ludowego, plebejskiego niż niechęć do każdego, lewicowego czy prawicowego rządu, niż wyśmiewanie tych, co mają nad nami jakąś, zwłaszcza niedużą władzę, niż puszczanie o nich złośliwych plotek, niż zagładanie im do kieszeni, niż wykpiwanie wszystkich ich pomysłów reformatorskich, jeżeli nie polegają na rozdawaniu pieniędzy za darmo. Wszystko, co robią media zarówno w rozrywce, jak i w polityce, jest tak hiperdemokratyczne, że aż hiperplebejskie. Ja nie chcę tego zmienić, ja tylko mówię, jak jest.

Co ja czuję, co ty czujesz, Drogi Czytelniku, gdy widzisz, jak pani Monika albo pan Jacek, albo jakiś inny pan Krzysio sadzają na krzesełku reprezentanta ludu, naszego reprezentanta, i zaczynają go przepytывать, jakby był ich dorastającym i nie bardzo pozbieranym dzieckiem: a nie wstyd ci? a gdzieżeś wtedy był, jak robili (a raczej nie robili) ścieżki zdrowia w Radomiu? znowu podałeś rękę Jędrkowi od Lepperów, przyznaj, że się tego wstydzisz! Albo: co pan tu, panie ministrze, mówi naszym widzom, że jakieś leki staniały, pan Sośnierz mówi, że zdrożały. Nie wstyd panu tak mijać się z prawdą? A pan znowu jest posłem z miasta Łodzi, nie wstyd panu, że tam trupami handlują?

To jest może kontrola władzy, ale kontrola z pozycji niefrasobliwego motłochu. Lud nie o takiej kontroli władzy marzył, kiedy robił swoje Wiosny Ludów. Geremkowi (i paru innym z tej partii) niczego wprawdzie w mediach nie zarzucają, ale biorą go w upupiający cudzysłów za pomocą niestosownych

pochlebstw. Praktyka pokazała, że jest to może jeszcze gorsze w skutkach. Czy to dziwne, że w Polsce stuprocentowo wolnej pod względem mówienia, co się chce, nie ma politycznej satyry? Politycy są tak wyśmiewani w audycjach serio, że satyra jest już niemożliwa. Można dodać fizyczny rechot i tylko tyle potrafią dziś satyrycy, tacy dowcipni, zdawało się, w PRL.

Kto czuje w sobie żądzę władzy, mówi Alain Finkielkraut, filozof, a mimo to bystry postrzegacz, nie obiera dziś (we Francji, ale i u nas to będzie) kariery politycznej. Lepiej zaspokoi swoją potrzebę stawiania pod znakiem zapytania innych, a sobie zapewnienia nietykalności, jeśli zostanie dziennikarzem, prokuratorem, a choćby i wydawcą. Dosyć mnie zdziwiło podobieństwo spostrzeżeń jego we Francji i moich w Polsce.

Współczesne Społeczeństwo-Państwo mimo maniakalnego i gorączkowego mówienia o reformach jest w istocie konserwatywne. Z dawnych mitów odnowicielskich i rewolucyjnych pozostało jedynie prymitywne oskarżycielstwo. W nim się wyraża wieczne, naturalne i nieusuwalne niezadowolenie ludzi ze swego statusu i z siebie nawzajem. Nie ma ono kierunku ani znaku ideologicznego. Kampanie oskarżycielskie są objawem choroby wściekłych mediów i kierują się prawie jednako przeciw lewicy, prawicy i centrum.

Wola władzy wyraża się na różne sposoby. Gdy równowaga sił w społeczeństwie i łagodne obyczaje nie pozwalają na stosowanie przemocy z użyciem policji i wojska, większej wartości nabiera władza nad umysłami. Dla osób zdolnych do sublimowania swojej woli mocy jest to może jedyny pociągający dziś rodzaj władzy.

Europejskie rządy, będące pod stałym ostrzałem dziennikarskim i nieustannie dziesiątkowane przez oskarżenia prokuratorskie, jakimś cudem pozostają jeszcze na posterunku. Czy potrafią coś więcej niż utrzymywać w ruchu maszynę

biurokratyczną i łagodzić konflikty o drugorzędnym znaczeniu? Politycy ograniczeni z jednej strony przez konieczności ekonomiczne, a z drugiej przez kapryśną lub wyrachowaną krytykę mediów, przybierającą często charakter nagonki, nie posiadają już tego zakresu wolności, jaki jest im niezbędny, by mogli ponosić odpowiedzialność za kraj. Za dużo mają do powiedzenia czynniki, które za nic odpowiedzialności nie ponoszą. Trzeba też wspomnieć o Kościele, którego działania coraz dokładniej wpisują się w logikę mediów.

Nie jest moją intencją obrona tych polityków, którzy poddają się biernie dziennikarskim manipulacjom i pokazują społeczeństwu naocznie, jak wyglądają przedstawiciele ludu, którzy utracili lub nigdy nie mieli morale. Mimo wszystko stanowią oni mniejsze zło. Można ich następnym razem nie wybrać i do tego nawołuję.

22.04.2002 r.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki